

Pierwsze lądowanie w Port Moresby, stolicy Papui Nowej Gwinei, było przedsmakiem tego, co później będzie stanowiło część naszej codzienności. Upał niesamowity. Teraz już nie jestem w stanie określić ile stopni Celsjusza mogło być wtedy na termometrze. Uczucie straszliwej duchoty w momencie, gdy wychodziliśmy z samolotu. W jednej chwili oblał mnie pot i poczułem jak płynie po mnie gęstym strumieniem. Przeszliśmy odprawę paszportową.

Przed lotniskiem czekał na nas brat Frydolin SVD. Kiedy stanąłem przed lotniskiem, z walizką wypchaną wszelkimi rzeczami jakie tylko byłem wtedy w stanie wymyślić i o których sądziłem, że mogły mi się przydać, nagle zauważyłem, że jakaś ręka sięga po moją walizkę. Przestraszony chwyciłem uchwyt mocniej, w razie, gdyby ktoś zaczął siłować się. I wtedy usłyszałem słowa wypowiedziane przez chłopca: Bai mi helpim. Nie wiedziałem dokładnie, co powiedział, ale słowo helpim pomogło mi wpaść na to, że chce mi pomóc. OK. - powiedziałem i chłopak ruszył, siłując się z moim dobytkiem. Po dobrnięciu do samochodu chłopak znaczącym gestem ręki pokazał, że chciałby jakiejś zapłaty za wykonaną pracę. Sięgnąłem ręką do kieszeni i wyciągnąłem 1 kinę, którą, jeszcze w Australii, dostałem od jednego z moich przyjaciół. Była to oczywiście jedyna kina jaką miałem w tamtym czasie.

Udaliśmy się do siedziby biskupa Koronku w Port Moresby. Owa siedziba była w miejscu, gdzie znajduje się agencja ?Dove Travel?. Jest to biuro podróży szczególnie chętnie wykorzystywane przez misjonarzy do podróży zagranicznych.

Dzień był bardzo słoneczny. Do wieczora zdążyłem wziąć 4 prysznic. Jedynie pod prysznicem czułem się dość dobrze. Woda, choć nie przypominała polskiego górskiego strumyka, jednak miała o wiele niższą temperaturę niż otoczenie, dlatego tak miło było stanąć pod prysznicem i chociaż na chwilę poczuć chłód na rozpalonym ciele.

Następny dzień to zwiedzanie Port Moresby, leżącego wśród małych wzgórz nad Oceanem Spokojnym. Z biskupem Koronku pojechałem do katedry, gdzie spotkałem się z proboszczem, a następnie wspólnie zwiedziliśmy całe Port Moresby.

Od samego przyjazdu nurtowała mnie pewna sprawa - skąd tu tyle czerwonych plam na asfalcie. Na początku myślałem, że to ślady jakiejś rośliny, której sok jest aż tak intensywny. Zapytałem proboszcza katedry. Usłyszałem: Nie przestrasz się - to jest [buai](#) . Tutaj wszyscy żują to świństwo. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka nie robiło to miłego wrażenia. Czerwona, gęstawa maź rozpryskana na chodniku nie budzi pozytywnych skojarzeń. Dopiero później dowiedziałem się, że otrzymuje się to przez zmieszanie trzech składników tzw. buaiu, dagi i kamby. Właściwie zmieszane dają efekt czerwieni. Działanie tego związku można porównać do

działania mocnej kawy czy też herbaty. Czasami potrafi wywołać natychmiastowe omdlenie, trwające parę chwil. Prawie każdy mieszkaniec PNG zna smak buai. Od wczesnych młodości lat obywatele Papui Nowej Gwinei smakują jego walory i chyba byłoby bezsensowne zwalczanie tego zwyczaju. Poza tym ma on bardzo duże znaczenie w funkcjonowaniu wioski przy załatwianiu wszelkich spraw, regulowaniu prawa i w ogóle w codziennym życiu. Można by nawet pokusić się na stwierdzenie, że Nowogwinejczyk wolałby chodzić głodny niż nie zjeść rano buai.

Sądząc po wyglądzie ulic, a także niektórych sklepów czy nawet domów, to stwierdzenie wydaje się szczególnie trafne.

Moja podróż po Port Moresby zakończyła się wieczorem. Zostałem odwieziony do miejsca zamieszkania i dalej starałem się walczyć z wieczorną duchotą.

Po przybyciu naszych władz prowincjalnych zostaliśmy zaproszeni przez biskupa Kurtza na uroczystą kolację.

Następnego dnia wyruszyłem w podróż do Wewak. Bardzo uważnie oglądałem z samolotu to co się pod nim znajdowało. Rzeka Sepik oraz gęsto rozciągająca się dżungla, pokrywająca dość liczne wzgórza, budziła we mnie podziw i strach zarazem. Czuję, że jestem już blisko tego, co za chwilę będę określał mianem codzienności. Bardzo serdeczne przyjęcie na lotnisku przez biskupa Raymonda Kalisza oraz przez bratnię werbistowską wprowadziło nas w tę nową rzeczywistość. Znaleźliśmy się w Wirui. Jest to centralne miejsce, gdzie przebywa biskup.

Cała wspólnota w Wirui to przede wszystkim werbiści od kilku lat przebywający na emeryturze oraz nieliczne grono młodych współbraci, przeważnie do prowadzenia tzw. warsztatów. Bracia i księża emeryci służą posługą duszpasterską dla pobliskich wiosek. Wśród nich znajdował się także jeden biskup - emeryt, arcybiskup Leo Arkfeld. Szukałem wtedy jakiegoś kapłana, by wyspowiadać się, ale miałem okazję spotykać samych braci werbistów. Po kolejnej, nieudanej próbie spotkania kapłana podszedłem do biskupa Arkfelda i zapytałem go: "Czy potrafisz spowiadać?? Spojrzał na mnie badawczo uśmiechnął się lekko, odpowiedział: "Oczywiście". I zaprowadził mnie do swojego pokoju.

Kiedy, po skończonej spowiedzi, wyszedłem przed dom i spytałem brata Mariana kim jest ten ksiądz, odpowiedział mi trochę zdziwiony: "To nie ksiądz, to biskup Arkfeld". Poczułem się trochę zawstydzony, ale od tej pory obrałem go sobie na swojego stałego spowiednika.

W Papui

Wpisany przez ks. Marian Wierzchowski SAC

ks. Marian Wierzchowski SAC

Horyzonty Misyjne 2